

GDY BYŁEM WIĘZNIEM KOMANDA GABLONZ

1. Podróż. Kilkadziesiąt godzin trwała nasza podróż. Z Gross-Rosen transport odbywał się koleją w towarowych zakrytych wagonach. Pociąg ten składał się z siedmiu wagonów. Pierwszy był przeznaczony dla Komendantury i starszyny obozowej oraz bagażu konwojentów, w pozostałych 6 wagonach po około 80 osób wlokowano więźniów dodając do każdego wagonu po dwóch konwojentów. W naszym wagonie nie było bardzo ciasno. Można się było poruszać, nie było miejsca aby wszyscy mogli siedzieć. Staliśmy, ale jak na konwój obozowy warunki były znośne.

Konwojenci siedzieli lub stali przy uchylonych drzwiach i pozwolili nam śpiewać.

Śpiewaliśmy wszystko, co kto pamiętał. Śpiew ten przynosił mi ulgę i zapomnienie, a nawet wprowadzał w uniesienie. Rozpocząłem śpiew coraz to nowej pieśni, wszystkie znane harcerskie, piosenki kabaretowe, patriotyczne, o Warszawie i w ogóle co się pamiętało. Była już noc. Stałem niedaleko drzwi pędzącego pociągu, przy których stali konwojenci i po jakiejś pieśni poczułem, że żołnierz wpycha mi w rękę chleb. Myślałem, że śnię. Bałem się otworzyć dłoni - lecz spróbowałem i przekonałem się, że chleb jest dla mnie. Może któryś z konwojentów znał treść pieśni i jakieś wspomnienia nasunęły mu myśl wynagrodzenia inicjatora śpiewu. A może i innym rozdał trochę chleba? Tego nie wiem, bo nie przyznałem się nikomu, a ćwiartkę chleba podzieliłem się z najbliższymi stojącymi.

W każdym razie zaliczam to zdarzenie do niezwykłych.

Pociąg nasz jechał, zwalniał, zatrzymywał się na dłuższych postojach, nim zjechał do celu, zatrzymując się na boczniczy towarowej w Gablonz. - to obecnie miasto Jablonec n. Nysę. Dalej pierwszym marszem dotarliśmy do obozu położonego w miejscowości Reinschütz - obecnie w Sudetach Czeskich Rynovice. Jeśli przyjąć dobrą pamięć kolegi Adama Grzęskiego, to z pociągu wysiedliśmy w trzecim dniu podróży. Dokładnej daty nikt nie pamięta, jednak przypuszczam, że transport nasz odjechał z Gross-Rosen 13 listopada, a do obozu w Gablonz dotarliśmy 15 listopada 1944 roku.

2. Gablonz. Przybyliśmy do nowego obozu. Budynek, w którym zamieszkaliśmy był barakiem ze ścianami murowanymi, dach konstrukcji drewnianej o sklepieniu łukowym. Niedaleko stał budynek fabryczny, a ścieżka z baraku do fabryki była ogrodzona siatką. W fabryce filia Zakładów ZEISSWERKE z siedzibą w Jenie - produkcja dla przemysłu zbrojeniowego Niemiec.

W zasadzie cała załoga pracowała w fabryce na dwie zmiany: nocna i dzienna po 10 godzin. W bloku pozostawali tylko funkcyjni. Do nich się zaliczali: Kuchekapo - Niemiec i jego pomocnik Rysio z Warszawy, blokowy Szaeza - Ukraińiec, sztabowy Tadek oraz kilku

należących do policji obózowej, lekarz na rewirze też Polak i sanitariusz Adaś ze Lwowa. Był również kapogłówny - Niemiec, który odpowiadał za nas w czasie pracy. Funkcję schreiberna pełnił Czechosłowak Vlaeta.

W bloku naszym mieszkał również lagerführer z rodziną. Esesmani mieszkali i mieli stołówkę w dolnej części baraku, my byliśmy na kondygnacji górnej. Spaliśmy na pryczach piętrowych.

Niedaleko od naszego obozu był obóz kobiecy, jednak kobiety w naszej fabryce nie pracowały. Raz wypadła na mnie kolej zanieśienia do nich kadzi z zupą i wtedy widziałem. Myślę, że z naszego komanda otrzymywały jedzenie. Nie udało mi się z nimi pomówić. Widziałem ich wychudzone sylwetki, jakieś nędzne szmatki suszone na sznurach.

Obóz kobiecy założono już zimą. Gdy dotarły nie wiadomo skąd ewakuowane / może z Auschwitz / były bardzo utrudzone. W naszym obozie otrzymały kąpiel i pomoc sanitarną. Prawdopodobnie były to Żydówki z wielu krajów.

Komando było nowo powstałe, liczyło 500 więźniów. Z personelu fabrycznego można było się zorientować, że pracują tam jako pracownicy cywilni Niemcy i Czechosłowacy. Było również biuro konstrukcyjne i biuro zarządu fabryki. Piętrowy biurowiec mieścił się w części hali fabrycznej; przez oszklone ściany można było obserwować całą fabrykę.

Ja pracowałem w zespole frezarek. Pamiętam, że od wejścia głównego do hali był zespół wiertarek / 10 maszyn /, dalej zespół frezarek / 10 maszyn /, później sały heblarki i piły, dalej tokarki.

W fabryce pracowaliśmy na dwie stałe zmiany. Na zmianie nocnej rozkład był następujący: wieczorem maresz do fabryki, o godz. 24 przerwa pół godziny na posiłek - zjadaliśmy kolację tj. chleb i kawę, a po przyjeździe do obozu po skończonej pracy / o godz. 6 rano / śniadanie. Później zajęcia obozowe i spanie. Obiad zjadaliśmy w obozie. Zmiana dzienna tym się różniła, że obiad zjadałem po powrocie z fabryki.

Biorąc pod uwagę nasze osłabienie na skutek niedożywienia, złych warunków mieszkania, braku odpoczynku i nadmiernej pracy - w niedługim już czasie zaczęło ubywać ludzi. Jeszcze nie był przygotowany rewir, a już pod ścianami układaliśmy chorych kolegów.

Pracą w fabryce w zasadzie regulował majster. On ustawiał maszyny i części do obróbki, on dawał wskazówki. Esesmani którzy mieli nad nami nadzór, zamykali drzwi fabryczne i nudzili się pilnując nas podczas pracy. U majstra była marka na wyjście do ubikacji, mógł ją dostać tylko jeden na 20 ludzi. W ubikacji stał więzień, który pilnował szybkiego załatwienia się. Nazywaliśmy go szajsko. Na naszej zmianie był to wysoki Rosjanin - dla mnie nawet poślizliwy.

Majstrów na dziale frezarki mieliśmy dwóch. U nas byli Czechosłowak i Niemiec. Ich zmiany inaczej wypadały niż nasze. Niemiec wyznaczył na tłumacza Jopka z Czeladzi, który biegle znał niemiecki. Z pracujących na frezarkach współtowarzyszy pamiętam Jurka Sitko i Wojtka Moteła. Poznałem go już wcześniej, gdy jechaliśmy z obozu w Pruszkowie w jednym wagonie do Grosse-Rosen. Był z nim wtedy brat Tadeusz. Wojtuś został jednak rozdzielony z bratem i przyjechał do Gablonz, a brat Tadeusz wysłany został na inne komando, jak się później okazało do Leitmeritz.

Wojtuś był chłopcem zasługującym na zaufanie. Brał udział w Powstaniu Warszawskim jako harcerz. Podobnie jak ja umiał opano-

wać żądze głodu. Był ambitny i nie nadskakiwał o dolewkę, co mnie jeszcze bardziej dla niego zjednało.

Majstrowie wymagali od nas dokładnej roboty. W fabryce było ciepło, więc w porównaniu z pobytami w Gross-Rosen warunki były dużo lepsze. Jednak te 10 godzin przy świetle lamp elektrycznych dawało nam się we znaki. Walczyliśmy z sennością i osłabieniem, często chwytając się korpusu maszyny. Z ulgą przyjmowaliśmy ryk syreny zwiastującej przerwę na zjedzenie posiłku. Wyłączaliśmy wtedy maszyny, a w hali zalegała cisza. Podczas przerwy esesmani zapędzali nas wszystkich do ubikacji, kolejno więc wychodziliśmy dostając pajdkę chleba i kawę. Ponowny ryk syreny oznaczał rozpoczęcie pracy i zaraz słychać było już normalny rytm hal fabrycznych. O 6 rano opuszczaliśmy fabrykę mijając po drodze do obozu zmianę dzienną. Wracaliśmy ponownie pod władzę lagerführera, blockführera, blokowych i jeszcze o niższej, ale za to bardziej dokuczliwej władzy obozowej. Myślało się w drodze powrotnej czy będzie odwieszanie, czy nie zrobią apelu kontrolnego, czy nie podpadnie Szaszy, czy, czy ...

4. Organizacja sabotażu. Uzgodniliśmy z Wojtkiem, że w fabryce starać się dokładnie pracować to znaczy to samo, co zdradzić. Więc po zastanowieniu obmyśliliśmy pewne formy sabotażu, które nie powinny mieć charakteru masowego, lecz stopniowo narastającego.

Postanowiliśmy zwiększyć ilość braków frezowanych odlewów. Drugą formą było psucie frezów. Ze względów konspiracyjnych nie wtajemniczaliśmy nikogo więcej z pracujących na frezarkach na tej zmianie, ale później przystąpił do akcji kolega na drugiej zmianie /dziennej/ był to Jurek Sitko - harcerz z szarych szeregów, brał udział w ruchu przeciwko okupantowi.

Ostrożnie w rozmowach z zaufanymi podsuwaliśmy te możliwości kolegom z wiertarek, z tokarzami /Piechna i Dzierżanowski/. Nawiązaliśmy kontakt z wydziałem elektrycznym - /tajnym/ - Janiszewski, na rewolwerówkach: Makowski, Karpiński, Grodzki. Jak się okazało wielu więźniów których nazwisk nie znam przyjęli ten system pracy.

Frez ustawiał do obróbki pierwszej sztuki osobiście majster. Zrozumieliśmy, że jest pewna tolerancja ilości materiału zepsutego. Więc korzystając z tego, braki przy naszych frezarkach stale się zwiększały, tym bardziej, że kontrola materiału nie odbywała się natychmiast, tylko majster od czasu do czasu sprawdzał wymiary obrobionych sztuk. To samo dotyczyło frezów. Czasami wymieniałem na jednej zmianie 2-3 frezów. Wydawało nam się to dużo.

Pamiętam, że w narzędziowni magazynier, który wydawał nowe frezy był Czechołowakiem i przez częste kontakty przyzwyczał się do mnie i do Wojtka. Za każdym razem robił do mnie oko i po błaznliwie się uśmiechał.

Przypuszczam, że majster Czech też domyślał się powodów naszej nieumiejętności, ale nigdy nam nie zwrócił uwagi, nie zganił, nie poskarżył Niemcom. Dotyczyło to większości majstrów Czechosłowaków na innych działach na przykład na rewolwerówkach.

To samo stosowaliśmy na zmianie majstra Niemca. Ten bardziej zaczął nas pilnować szczególnie przy zmianie nowego modelu. Mimo to konsekwentnie psuliśmy odlewy tak jak na zmianie Czecha, tłumacząc się nieumiejętnością, brakiem zdolności lub zmęczeniem. Jopek, nasz tłumacz, dostał później opaskę kapo. Zaczął uważniej nas pilnować, kontrolować ustawienie maszyny w czasie pracy i podpatrzyłem, że dostawał od majstra Niemca chleb przynoszony z domu. Natychmiast ostrzegłem kolegów przed bystrością Jopka, który stawał się coraz bardziej agresywniejszy. Pewnego razu uderzył Wojtka



Panorama okolicy obozu. Z prawej strony od drogi widocznej pod lasem dach budynku, w którym był obóz Komanda Gablonz. Z lewej strony drogi pod lasem stoi biały krzyż z drzewa brzoźowego. W tym miejscu są pochowani więźniowie obozu, po ekshumacji z mogił tymczasowych rozrzuconych pod lasem, gdzie byli grzebani zmarli więźniowie w czasie niewoli. Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w 1945 roku zaraz po zabraniu zwłok do wspólnej mogiły.

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.1.14.

za zepsucie dużej ilości odlewów, Wojtek dużo słabszy, z impetem potoczył się na frezarkę i przypuszczam, że pękły mu zębra, bo stale już się skarżył, że go boli.

Ja nierozważnie od razu zareagowałem i choć Jopek był wysokiego wzrostu podskoczyłem i uderzyłem go w twarz. Cios mój nie mógł być silny, ale sam fakt uderzenia przeze mnie musiał go zaskoczyć bo mnie nie uderzył, choć był kapo. Prawdopodobnie się zląkł, bo wszyscy koledzy zwrócili na niego wyczekujący wzrok. Dał mi spokój /chwilowo/, a na Wojtka już więcej ręki nie podniósł. Mimo to, jak się później dowiedziałem Wojtek Możej wolności nie deczekał. Został pochowany w Morawskiej Ostrawie na Żabińcu.

5. Nastroje świąteczne. Święta Bożego Narodzenia spędziłem w komando Gablonz. Niemcy i dla więźniów zorganizowali choinkę. Duży świerk wyrąbany w lesie stał na naszej sztubie. Zamiast cukierków i innych bakalii pozawieszała kùchekapo surową marchewkę, kawałki brukwi, kromki chleba, a więźniowie sporządzili z odpadkowego papieru jakieś przybrania i choinka stała. Dziwna rzecz, ale nikt z niej nic nie ściągał.

Dopiero po świętach padł rozkaz rozebrania choinki. Była to zabawa dla esesmanów i starszyny obozowej, jak więźniowie utworzyli kłębowisko ciał rozdrapujących pozawieszane "specjały".

Wieczór wigilijny urozmaiciliśmy występem chóru amatorskiego, śpiewaniem kolęd.

Znaleźli się wreszcie i tacy, którzy zaimprovizowali występ artystyczny.

Nastrój był wzniosły, ale rzeczywistość szybko nas sprowadziła w realia obozu. Myśli nasze powędrowały do rodzin oddalonych. Jak spędzają święta w Warszawie, spalonej i znękanej. Gdzie są teraz moi rodzice. Matka była chora. Czy brat Lolek wywieziony do Oświęcimia wie, że i ja jestem w obozie? Jak żyje i gdzie teraz przebywa moja żona z córeczką Krysią? Kiedy mnie zabierano z domu był obecny ojciec i jeszcze kilka osób, które przechowywaliśmy. Czy i ich wywieźli? Czy się z nimi jeszcze zobaczą? A jak sobie radzi mój brat Marian, którego wypuścili z Radogoszczy przez starania łódzkiej organizacji podziemnej i ukrywał się na terenie podwarszawskim. Czy uda mu się przetrwać tę zawieruchę? To zapewne były myśli i zapytania nie tylko moje lecz każdego z nas. W ciągu tych kilku miesięcy przeżyłem tyle niebezpieczeństw, utrudnień, chorób, niepewności losu, że moja przeszłość wydawała się jako bardzo odległa, a powrót nieosiągalny.

Wspominając swoich bliskich poznawaliśmy się wzajemnie i rodziny, których nigdy nie widzieliśmy osobiście, a uważaliśmy je za swoje własne.

Przy takich okazjach jak święta, a i w ogóle w każdym wolnym czasie, nawet po posiłku szybko zjedzonym byli amatorzy tematów kulinarnych. Opowiadali jakie pieczywa wypieka jakaś piekarnia, pieczywo świeżutkie, ciepłe, pachnące i chrupiące. Jureczek z Warszawy opowiadał jak jego mama przyrządzała przystawki na przyjęcie gości. Smakowicie wyglądały jajka gotowane na twardo udekorowane na muchomorki na łączce. Szczegółowo poznaliśmy technikę tego dania; kapelusze były z pomidorów, posypane siekanym żółtkiem, a stały na półmisku w majonezie przybranym szczypiorkiem zamiast trawki. Jurek, młody chłopiec z Warszawy tęskniąc do matki stale mi o niej opowiadał.

Był też jeden maniak, który tworzył teoretycznie różne potrawy i każdemu o nich opowiadał. Chwalił się, że po wojnie wyda książkę kucharską.

6. Higiena, która zabija. W każdą niedzielę rano kazali nam pracować pasiaki i bieliznę. Pranie ograniczało się do zamoczenia w wodzie, gdyż żadnych innych dodatków nie otrzymywaliśmy. Takie pranie nie usuwało brudu i wszy.

Kiedy ubranie było jeszcze mokre nie wysuszone - blockführer zarządził alarm i wszystkich nas wyprowadził na spacer. Była zima, spacer bez względu na mróz polegał na maszerowaniu jeden za drugim w koło, ze śpiewaniem pieśni obozowych w języku niemieckim. "Góralu czy ci nie żal" było wyjątkiem i śpiewaliśmy po polsku, bo Blockführer bardzo tę piosenkę lubił. Myśmy maszerowali, a ubranie sztywniało na mrozie. Po godzinnym spacerze mieliśmy już wszyscy dosyć śpiewu. Blockführer w oficerkach i wełnianych skarpetach w mundurze i płaszczu asystował nam na spacerze, ale my w drewniakach na bosych nogach, w mokrej bieliźnie i ubraniu musieliśmy płacić przeziębieniem, a często zapaleniem płuc lub gruźlicą. Po przyjeździe na blok mogliśmy ubranie dosuszyć podczas odwezwiania. Czystość nawet najbardziej przez nas przestrzegana, nie mogła zniszczyć wszy. Ich siedlisko i wylęgarnia mieściła się chyba w kocach, bo pranie bielizny i ubrania nic nie pomagało. Koszule przy przeglądzie kilkugodzinnym były bez wszy, ale przy kontroli pod lampą zawsze się coś jeszcze znalazło. Wtedy zarządzano dodatkowe kary jak skakanie żabką, albo dodatkowe roboty w obozie.

Zdaje mi się, że zarządzenie prania tylko w czystej wodzie, było raczej obliczone na naszą udrękę, a mało miało wspólnego z higieną.

Drugim elementem higieny była kąpiel pod prysznicem, niestety i tutaj obliczano na udrękę więźnia. Wokół ścian kąpieliska ustawiono pipli obozowych z pałkami, a którzy pełnili funkcję jakby milicji obozowej, dla utrzymania porządku, a właściwie używani byli do bicia. Środek kąpieliska pod sitkami zajmowali więźniowie, pipile i funkcyjni pod ścianami. Puszczano na zmianę wodę od lodowato zimnej do gorącej. Odkroczenie nagiego szkieletu od sitka kosztowało zarobienie pałki. I teraz zależało od wyboru: lepsze bicie czy męka pod sitkami. Najgorzej mieli ci więźniowie którzy byli w środku kąpieliska, bo już nie mogli dostać się pod kij, aby uwolnić się na chwilę od tej strasznej kąpeli.

Kąpiel nasza była zabawą dla starszyzny obozowej. Kto kierował wtedy dopływem wody nie ustaliłem, ale oskarżam tego człowieka o morderstwo niejednego z nas tym higienicznym sposobem.

Pewnego razu władze obozowe zarządziły zbiórkę tych, co notowani byli za wszy. W liczbie około stu i ja się znalazłem. Ustawili nas piątkami i otoczyli kordonem kapów i wszelkiego rodzaju zwyrodnialców, co za miskę zupy /jedną a może i więcej dziennie na dodatek/ sprzedali się jako pipile./ oni wszyscy byli uzbrojeni w pałki drewniane, gumowe i sprężynowe. Dano rozkaz do skakania żabką, a oni nas kijami popędzali do pośpiechu. Nasze skakanie szybko zmieniło się w czołganie, a później w masakrę ludzi już bezsilnych, nie poruszających się, a ciągle bitych. Do dziś zachodzę w głowę, jak to możliwe, że do bicia drugiego człowieka znajdują się chętni i w biciu tak gorliwi. Po uderzeniach rozumiałem, że nie markują, lecz spełniają to gorliwie, choć byli i oni zmęczeni. Część kolegów przeczołgała się pod prycze, ci mniej dostali, reszta stała się kłębowiskiem ciał, gdyż jeden drugim się zasłaniał, zresztą bez skutku. Od kurzu z podłogi powstał jakby obłok mgły, oddychać też było trudno. I znowu po takim zabiegu "higienicznym" trzeba było uzupełniać stan komanda, tyle że w Gross-Rosen więźniów nie brakowało.

Nie miałem wielkiej urazy do władz obozowych za tego rodzaju udręki, bo byłem w ręku wroga, ale miałem i mam głęboki żal do współwięźniów, którzy byli na tyle zwyrodniali, żeby /choćby kosztem własnego zmęczenia/ tak solidnie bić swoich współtowarzyszy. Ci nie rozumieliby co to sabotaż - oni pracowali dla otrzymania premii od wroga.

7. Ucieczka z obozu i jej skutki. Zdarzyło się zimą, że dwóch więźniów uciekło z obozu, a właściwie uciekli z fabryki podczas zmiany nocnej. Jakie plany mieli uciekający, nie wiem. Czy przemysłeli wszystkie szanse, też nie wiem. Myślę, że raczej była to ucieczka nieprzemysłana podyktowana rozpaczą i brakiem wytrzymałości, bez obliczenia szans za i przeciw. Jeden z uciekających był Rosjaninem, drugi zdaje się Jugosłowianinem. Wykorzystali okoliczności sprzyjające do opuszczenia fabryki.

Ucieczka ich zakończyła się tragicznie dla nich i może jeszcze bardziej tragicznie dla nas. Sytuacja była następująca: drzwi wejściowe do hali fabrycznej były oszklone i zamalowane tylko niebieską farbą ochronną. Drzwi te zamykali od wewnątrz esesmani, którzy pozostawali z nami na hali przez całą noc. Na zewnątrz posterunku nie było, prawdopodobnie z powodu mrozów. Drzwi były ponadto zasłonięte od wewnątrz ciężką kotarą, która stanowiła izolację, a również nie przepuszczała światła na zewnątrz w czasie alarmów lotniczych.

Wiertarki były umieszczone najbliżej drzwi wejściowych i właśnie dwóch więźniów z grupy wiertarek uciekło.

O godzinie 24⁰⁰ zawyła syrena fabryczna wewnątrz hali obwieszczać przerwę w pracy. Podczas przerwy wszyscy wyłączaliśmy maszyny i przechodziliśmy do ubikacji i dopiero pojedynczo wychodząc otrzymywaliśmy kolację tj. pajdkę chleba i czarną kawę. I właśnie uciekinierzy, wykorzystując te fakty, w momencie zamieszania o 12 w nocy, kiedy wyjąca syrena zagłuszała wszystko, wybili szybę pod zasłoniętą kotarą i opuścili fabrykę. Ucieczka ich mogła być spostrzeżona najwcześniej po pół godzinie, to jest po zakończeniu przerwy.

I tak się stało, a właściwie to jeszcze później, bo esesmani zostali powiadomieni dopiero po 10 minutach pracy po przerwie. Majster początkowo myślał, że są w ubikacji, ale jak spostrzegł, że marka na wejście jest u niego, a dwie wiertarki stoją bezczynnie, zawiadomił eskortę esesmańską. Zarządzono alarm. Liczenie nas trwało znowu z pół godziny, tym bardziej, że wiedzieliśmy już o ucieczce i specjalnie marudziliśmy w liczeniu.

Ściągnięto nas z fabryki do obozu i liczone wspólnie z pierwszą zmianą dzienną, lecz i to nie dało efektu. Początkowo przypuszczano, że oni uciekli na blok, żeby się wyspać. Powtórne liczenie całego stanu znowu trwało około godziny. Tak że w końcu pościg rozpoczęto co najmniej po upływie półtorej godziny. Szanse dla uciekinierów się zwiększyły.

Wściekłość esesmanów nie miała granic, a najwięcej był wściekły Blockführer. Deszedł on do wniosku po nieudanej pogoni, że ucieczka była zorganizowana. Zaczęto badać pozostałych 8 więźniów pracujących na wiertarkach. Dochodzenie skończyło się egzekucją wymiarzenia każdemu po 100 batów. Biedni, stracili z miejsca szansę przetrwania obozu.

Dalsze dochodzenie i poszukiwania nie przyniosły efektu. Blockführer rozszerza krąg badań. Sprowadził więźniów z następnej grupy maszyn. Były to frezarki, na których wśród dziesiątki i ja pracowałem. Padł wyrok Blockführera ponownie po sto batów dla tych ośmiu z wiertarek i po sto batów dla nas. Jesteśmy świadkami egze-

kucji. Blockführer liczy osobiście. Egzekucja trwa długo. Bici już nie jęczą. Ale nas boli choć jeszcze nas nie biją. Nie możemy na to patrzeć. A przecież stoimy w następnej kolejce.

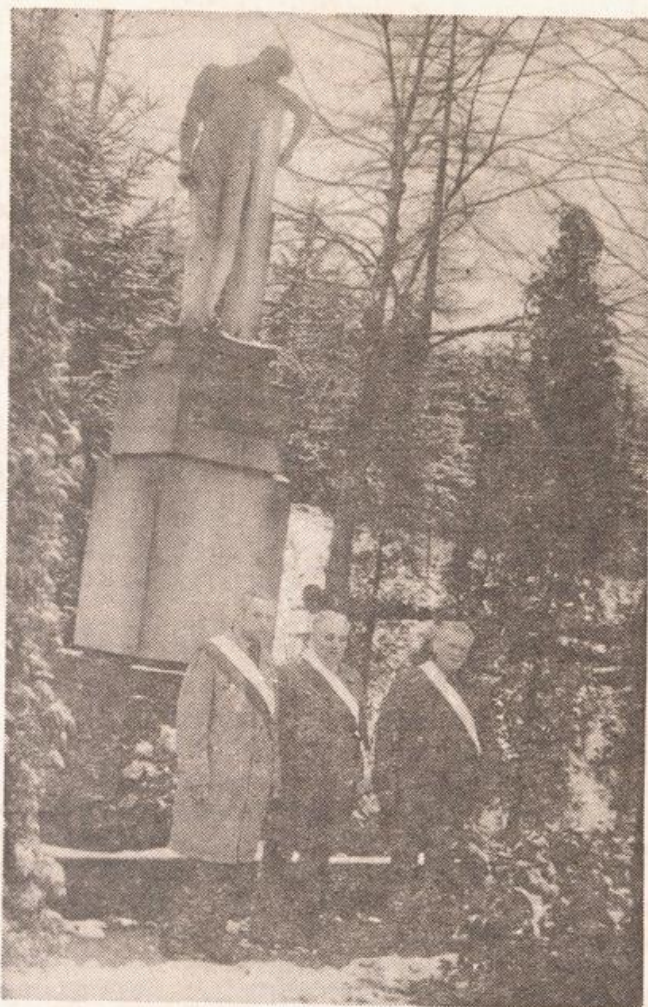
Przeklinałem w duchu tych dwóch, co uciekli. Czy opłacało im się uciekać dla wątpliwego ratowania własnego życia, ale dla wykończenia w męczarniach 8 współtowarzyszy, którzy by może przetrwali i doczekali końca wojny, a wydawał się on nam zawsze bliski. A jak my wytrzymamy egzekucję? Nasza kolejka stale się zmieniała. Każdy z nas chciał odwlec moment egzekucji. Praktycznie, stojąc na końcu, za chwilę stałem już pierwszy, uciekłem na koniec aby znowu być niedługo pierwszy. W końcu doszła do nas kolej. Na kogo pierwszego wypadnie. Nie pamiętam nazwiska. Zdaje mi się, że to był Tadzio z Warszawy. Młody wysoki chłopiec. Jeden z tych, co zorientowany był w działalności sabotażowej w grupie frezarek. Blockführer zaczyna liczyć. Dwóch siepaczy dobrze odżywionych biją na zmiany, po razie. To za wiele na moje nerwy.

Na salę wszedł Rysio Martyniak, zobaczył co się dzieje i zaraz się wycofał do swojej sztaby. Po chwili na salę wszedł Küchenkapo, więzień - Niemiec, mający duże wpływy w obozie z racji swej funkcji. Znał mnie z widzenia z kontaktów z Rysiem. Bez namysłu natychmiast uciekłem z szeregu w jego stronę i wtedy dopiero pożałowałem, że nie znam biegle niemieckiego. Zacząłem chaotycznie do niego mówić po polsku, wplatając wyrazy niemieckie, że jesteśmy niewinni, że nic nie wiemy o ucieczce, że dostajemy po sto batów i dodałem coś jeszcze w tym rodzaju, dokładnie nie pamiętam. Może liczyłem, że Küchenkapo wykończy mnie od razu, bo z tego słynął, a może wiedziony intuicją przypomniałem sobie spostrzeżenia, że Küchenkapo esesmanów nienawidzi, a oni się go czegoś boją. Küchenkapo na pewno mnie nie zrozumiał, jednak nie uderzył, lecz zbliżył się do Blockführera i coś po niemiecku zaczął z nim mówić.

Blockführer coś mu odpowiedział i powstała między nimi ostra sprzeczka. A najważniejsze, że esesman w tej sprzeczce przestał liczyć, a oprawcy przestali bić. Tadzio już nie był bity i to było ważne. Sprzeczka między Niemcami coraz bardziej przybierała na sile, coraz głośniej dyskutowali i w końcu Blockführer wszedł do sztaby Küchenkapo. Egzekucja została odłożona. Na nasze szczęście już się nie powtórzyła. Zrozumiałem, że solidarność łączy nie tylko Polaków, ale więźniów innych narodowości. Wyniosłem, że choć Küchenkapo jest więźniem, to musi mieć wpływ na Blockführera. A może i Rysio coś pomógł - tego nie wiem, ale często o tym myślę. Niedługo po tych wypadkach Blockführer został zmieniony i skończyły się spacerki ze śpiewem na mrozie w mokrych ubraniach i sprawa ucieczki przycichła. Szkoda tych 8 kolegów, którzy pewno życiem przypłacili niefortunną ucieczkę 2 współtowarzyszy.

Po około dwóch tygodniach zostali oni ujęci i przywiezieni do naszego obozu. Musieliśmy przed nimi przedfilować. Przywiązani byli za ręce do słupków, na głowie mieli biskupie czapki i napis w języku niemieckim, że znowu są z nami. Władek Krawczyński słyszał jak więzień Rosjanin szeptał: "brat ubij". Spodziewali się napewno dalszych męczarni. Wywieziono ich do Gross-Rosen. Przybywający do nas stamtąd więźniowie na uzupełnienie stanu komanda powiedzieli nam, że uciekinierów powieszono.

Nic nie było tak drogie, jak wolność. Ja uciekałem już z obozu jeńców wojennych w Radomiu w 1939 roku, ale ucieczka moja tak była przemyślana, że nie mogła spowodować represji wobec innych. W transporcie do Gross-Rosen, gdy Władek Krawczyński otworzył w nocy drzwi wagonu i można było skakać w biegu pociągu, nie wyskoczyłem ze względów solidarności z najbliższymi towarzyszami, którzy



Rynovice. Maj 1980
Warta honorowa więźniów obozu Gablonz.
Od lewej: Stanisław Kuczewski,
Stanisław Salamon, Zenon Karpiński

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.35

Tak wygląda obecnie zbiorowy grób więźniów komanda Gablonz, zmarłych w ostatnich miesiącach istnienia obozu. Byli grzebani w ziemi pod lasem. Po zakończeniu wojny, zwłoki ekshumowano do zbiorczej mogiły, na której postawiono krzyż brzozy z koroną cierniową z drutu kolczystego. Przed mogiłą wzniesiono monumentalny pomnik i napis na cokole "Liede bde" - /Bądźcie czujni/

nie decydowali się na skok - ale rozumiałem tych, co skaczą, i namawiałem. Gdybym był sam na pewno bym skakał, ale nie mogłem skakać bez Sewka Pianowskiego, który był zabrany z mojego mieszkania, a on nie zdecydował się. Uciekł wtedy z wagonu Janusz Madanowski i inni. Słysząc było strzały eskorty, o ile wyskakujący nie natrafił na słup lub inną przeszkodę, mógł mieć szansę. A później w obozie stale obmyślaliśmy plany ucieczki, ale nic nie mogło nam przyjść do głowy logicznego, by tak uciec aby innych nie narazić. I dlatego uznałem, że ucieczka jest trudna i że więcej nam pomoże wzajemna solidarność oraz pomoc koleżeńska, której tak bardzo potrzebowaliśmy. Większość kolegów również w ten sposób komentowała zagadnienie ucieczki, że albo wszyscy, albo w takich warunkach, że by nie było zbiorowej odpowiedzialności. Do końca mojego pobytu na tym komando ucieczek już nie było. To jeszcze pamiętam, że na początku naszego pobytu w Gablonz został znaleziony drąg żelazny na pryczy Kazia Jastrzębskiego /żołnierz AK uczestnik Powstania Warszawskiego/, na której spał razem z Czechosłowakiem. Była to okazja do przeprowadzenia badania jako podejrzani do przygotowywania ucieczki. Zakończyło się biciem. Kazio i Czechosłowak znieśli jakoś tę kaźnię męźnie, wyleczyli się.

Spotkanie z Kaziem Jastrzębskim w Warszawie na wolności było dla mnie wzruszającym przeżyciem.

8. Culaga niknie sama. Sprawa wyżywienia w obozie była największym problemem. Czasami wydawali ćwiartkę chleba na dwóch i trzeba się było podzielić. Podział ten odbywał się z wielkim rytuałem i skrupulatnością. Więźniowie już nie dzielili chleb na oko, ale odważali na wadze własnej konstrukcji. Okruszyny też były równo podzielone. Nie myślę się chyba, że chleb był podstawowym i najbardziej pożądanym pożywieniem. Chleb był najdroższy. Bywały często kradzieże chleba wśród więźniów, zresztą surowo karane, ale z czasem złodzieje tak się wyspecjalizowali, że trudno ich było wykryć. Dziś z pewną dozą rozczulenia i podziwu wspominam złodziejski spryt kradzieży mojej culagi, ale wtedy kawałek chleba był dla mnie straszną bardzo bolesną.

Rysio, pomocnik kùchenkapo, powiedział mi, że potrzeba zrobić za oknem w sztubie kùchenkapo półeczkę, która w zimie będzie dla niego lodówką. Jeśli to zrobię, to coś dostanę. Niemało się natrudziłem nad znalezieniem odpowiedniej deseczki, z wielkim mozołem obrobiłem ją nożem, dopasowałem, zrobiłem ogrodzenie ochronne, żeby z półeczki nic nie spadało. Robiłem to koczem snu, po przyjeździe ze zmiany z fabryki. Wreszcie wszystko udało mi się wykończyć i zamontować. Półeczka podobała się kùchenkapo. Kazał Rysio dać culagę. Była to kromka chleba, a na niej łyżka marmolady. Taka wysoka zapłata, jakiej się nawet nie spodziewałem. Na sztubie było już ciemno, wszyscy spali. Cichutko podszedłem do swojej pryczy. Spałem na górze. Zbadałem czy nikt mnie nie obserwuje, ale słysząc było tylko, jak zwykle, jęki i stękania ludzi utrudzonych i śpiących. Położyłem culagę na swojej pryczy z zamiarem zjedzenia jej w łóżku. Chciałem się delektować zapachem i smakiem marmolady z chlebem. Schyliłem się na dół, by zdjąć drewniaki, trwało to może sekundę, dwie. Zalegała nadal cisza. Wspinam się więc na górę i ostrożnie szukam culagi, aby jej nie zgnieść. Lecz szukam daremnie. Culagi nie ma. Wszyscy śpią bez ruchu. Nie dowierzam sobie i swoim oczom. Szukam oczami i rękami, ale bezskutecznie. Culaga zniknęła. Sąsiedzi moi śpią snem kamiennym.

Nawet nie robię alarmu, nie ma po co. Moja culaga pewno już w brzuchu zjedzona bezszelestnie przez czujnego kolegę więźnia.

Przeżyłem tylko radość posiadania culagi, przeżyłem w myśli przyjemną chwilę jej zjedzenia, lecz zjadł ją - bez przyjemności, ale z korzyścią - ktoś inny.

A więc doświadczenie: "co masz w rękę do zjedzenia, zjadaj natychmiast". Pozostało to mi do dnia dzisiejszego.

Innym razem zdarzyło się, że jeden ze współwięźniów nocną kradzież żywności przyplącił życiem. Nikt nie dostawał paczek za wyjątkiem Niemców i Czechów. /Byliśmy przecież na terenach Czechosłowacji/. Jeden z kolegów czeskich dostał paczkę. Zjadł co mógł, trochę podzielił się pewno z najbliższymi kolegami, a resztę schował na pryczy, w której spał. Ale nie spał czujnie, śnił mu się dom rodzinny, a może usnął z nadzieją na dobre śniadanie. Rano zbudził nas jęk jednego z kolegów Rosjan. Boli go brzuch. A za chwilę Czechosłowak już krzyczał, że zginął mu smalec.

Rozpacz jednego więźnia połączona była z konaniem drugiego. Dostał skrętu kiszek i zmarł w męczarniach.

Nasz warszawski transport pozbawiony był w ogóle nadziei na otrzymanie paczki. Mogły być one nadawane tylko z terenu Rzeszy, a poza tym kto z najbliższych wiedział gdzie my jesteśmy. W Gross-Rosen raz wolno było wysłać list po niemiecku, ale tylko do Rzeszy, więc choć napisałem adresując do Warszawy, wiedziałem że nie dojdzie. Znajomych w Rzeszy nie miałem. Jedynie Sewek Pianowski, którego rodzice mieszkali w Nasielsku, wysłał list, ale odpowiedzi ani paczki do Gross-Rosen nie otrzymał. Doszła do niego paczka z domu do Gross-Koschen/, ale dowiedziałem się o tym już na wolności. Mimo to warszawiacy dzielnie i z godnością znosili mękę głodu. Duża grupa młodocianych była otaczana opieką, ale poza dolewką lichą zupy i to czasami, nic więcej dostać w obozie nie mogli. Chleb był wydawany w jednakowej ilości dla wszystkich. Żaden z kolegów naszego transportu nie skusił się na przyjęcie jakiegokolwiek funkcji. Z przyjemnością i dumą Polaka wymienić mogą tylko te nazwiska, która z Gablonz zapamiętałem: Bernhard Laskowski, Zdzisław Makowski, Kazimierz i Czesław Jastrzębscy, Piechnowie /ojciec i syn/ i dziesiątki innych, a właściwie wszyscy z naszego transportu - nikt nie splamił godności więźnia politycznego i Polaka.

Wspominam też sensację na naszym bloku, gdy nadeszła paczka dla Władka Krawczyńskiego. Od kogo - on sam był zdumiony. Zbiegliśmy się oglądać tę paczkę. W pudełku tekturowym od butów były skórki czarnego chleba i suchary, a na dnie kilka sztuk cebuli. Oczy się Władkowi i mnie zaszklily, gdyż domyśliliśmy się, że paczkę przysłała mu żona, która razem z kobietami w dwóch ostatnich wagonach jechała z naszym transportem. Wagony odczepili we Wrocławiu. Dlatego też i Władek mimo że otworzył wagon w transporcie do Gooss-Rosen z wagonu nie uciekał. Kilka skórek chleba Władek rozdzielił między najbliższych, ja nie mogłem wyciągnąć ręki, choć też miałem chęć - ale się wstydzilem. Te skórki chleba były na pewno z wielkim wyrzeczeniem, przysłano właśnie dla Władka, a nie dla innych. Polska kobieta - niewolnik niemiecki znak przyjaźni i otuchy.

9. Wyzwolenie czy śmierć zagląda nam w oczy. Może w końcu stycznia na początku lutego wśród załogi esesmańskiej zamieszanie i niepokój. Z dalekiej od obozu odległości słychać wieczorem odgłosy kaponady artyleryjskiej i wybuchy bomb lotniczych. W obozie zarządzone alarm i przygotowania do ewakuacji. Koce wolno nam zrolować i przewiesić przez ramię. Z podglówka trzeba wysypać zawartość i zamienić na chlebak. Jest wieczór. Wydają nam chleb na kolację, a dodatkowo po bochenku chleba na podróż. Zabraniają go jeść, bo nie wiadomo, na jak długo nam ma on wystarczyć. Gotowych do marszu,

ustawiono nas pod ścianą baraku, gdzie stłoczyliśmy się w jednym rogu gdzie nie ma prycz. Na wprost nas, przed drzwiami wyjściowymi, ustawiają karabiny maszynowe z obsługą. Każą siadać i czekać. Czekamy, nie wiedząc na co. Może nie ma rozkazu do wymarszu? A może wyzwolenie bliskie? A może tu pozostaniemy na zawsze, bo po co te karabiny...

Różne myśli kłębią się w głowach. Serca biją przyśpieszonym rytmem. Rozmawiać nie wolno, mimo to udaje mi się uzgodnić z zafanymi kolegami, żeby uprzedzili najbliższych, że w razie przygotowania do zbiorowej egzekucji wszyscy rzucamy się na karabiny maszynowe. Odległość ze dwadzieścia metrów. Wszystkich nas od razu nie zabiją, część może się uratować. Uznaliśmy to jako jedyny ratunek w wypadku rozpoczęcia ognia.

W tej sytuacji postanowiłem dorwać się do całego bochenka chleba. Przecież tak o nim marzyłem. Cały bochenek mieć w rękę! Zaczęłem go jeść wolniutko, bez pośpiechu. Czasu było dużo, bo beczynnie siedzieliśmy kilka godzin patrząc w lufy karabinów. Zjadłem może z pół bochenka, resztę pokroiłem na mniejsze płaskie kromki i pochowałem w zrolowanym kocu. Kawałek włożyłem do chlebaka. Najedzony jak nigdy, rozmyślałem o mogących się zdarzyć wypadkach. Wzrokowo porozumiewam się z towarzyszami. Dają znak, że są przygotowani i najedzeni.

Nadchodzi ranek. Ewakuacja odwołana. Pada rozkaz ustawić się w rzędzie i oddawać chleb na rozłożone na podłodze koce. Z żalem oddaję chleb nie dojedzony. Dziw, że za zjedzenie chleba nie biją. Rewidują tylko, czy ktoś chleba nie zatrzymał. Żal mi było tych kolegów, którzy taki skarb musieli oddać w całości.

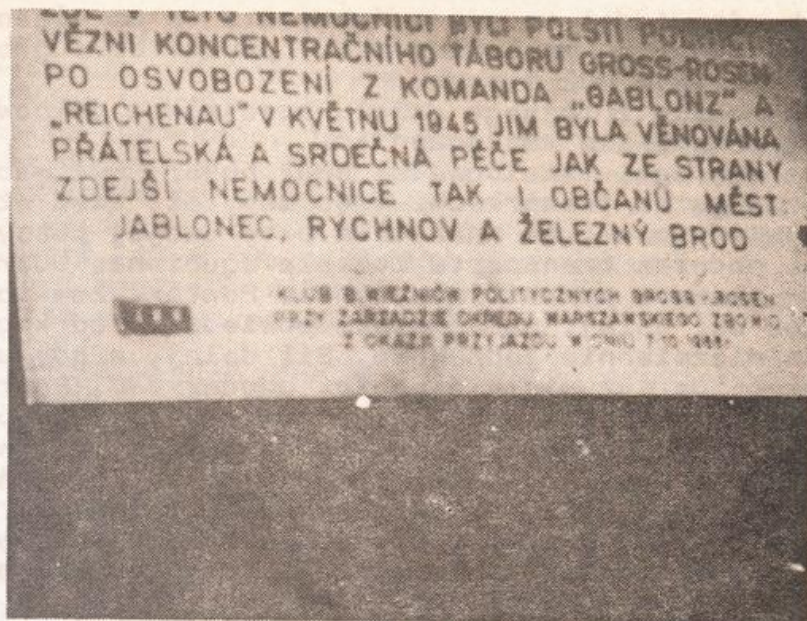
A dziś myślę, że może to była moja nierozwaga. Bo gdyby nastąpiła ewakuacja, co bym jadł. Jednak tym razem się udało.

Obóz wrócił do normalnych zajęć. Zmiana poszła na fabrykę do pracy, a wolność nadeszła dopiero w maju 1945 roku.

10. Są wśród nas zdrajcy, ale jest też solidarność. Od czasu do czasu robiono na bloku rewizje. Stawialiśmy w szeregu i podlegaliśmy dokładnej rewizji osobistej. Zabierano wtedy kawałek sznurka, z blachy zrobione scyzoryki /noży w obozie nie dawano do krojenia chleba i tym podobne drobiazgi. W życiu obozowym są one bardzo potrzebne, ale dla zwycięskiej armii hitlerowskiej są zagrożeniem. Inna grupa kontrolowała prycze oraz obszukiwała wszystkie zakamarki.

W obozie była zakonspirowana grupa sabotażowa, do której należałem. Podjąłem się przyniesienia na blok płyty ebonitowej, która była w dziale elektrycznym, tajnym i dodatkowo ogrodzonym. Pracowałem blisko wejścia do tego działu. Płytę wyniósł mi Władek Janiszewski, idąc do ubikacji i niespostrzeżenie oparł ją o korpus maszyny przy której pracowałem. Ja płytę schowałem pod mantel i przyniosłem do obozu. Schowałem ją na murze ściany pod stropodachem, bo z mojej pryczy mogłem tam dostać. Wobec tego, że płyta z tak wielkim trudem została dostarczona na blok, żal mi było, aby ją odkryto przy rewizji. Do sprawdzenia murku wyznaczony był Polak, nie znam nazwiska ani numeru. Był wysoki, dlatego go wybrali do tej czynności. Zaryzykowałem i szepnąłem mu, żeby koło mojej pryczy na murku nie nie zauważył, niech szybko ręką przeleci. Płyta była płaska grubości około 2 centymetrów, i byłoby możliwe do wytłumaczenia, że nie namacał, gdyby ktoś drugi za nim kontrolował. Jednak tym razem się zawiodłem.

Odkrył płytę i przyniósł ją do oberkapo. Oberkapo, Niemiec, szczupły, niskiego wzrostu, nie wtrącał się do naszego życia obozowego. Miał nierozłączonego przyjaciela białego pieska -szpica.



Polscy więźniowie zrzeszeni w klubie b. więźniów Gross-Rosen przy Zarządzie Warszawskim ZBoWiD ufundowali i wmurowali w 1968 roku tablicę miedzianą przy wejściu do szkoły w Żelaznym Brodzie upamiętniając pobyt swój w szpitalu Czerwonego Krzyża

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.13.



Zenon Karpiński z Warszawy odczytuje tekst tablicy - gdyż tu otrzymał pierwszą pomoc na wolności

Foto archiwum Gross-Rosen 3.1.2.12.

Ten człowiek odpowiadał za nas w fabryce i to on właśnie zarządził tę rewizję. I dlatego znalezienie tej płytki było groźne. Jak zwykle, przy rewizji był z psem.

Płytkę w obozie z tajnego działu specjalnie pilnowanego - była dla oberkapo wielkim zaskoczeniem. Wystąpiłem z szeregu, zameldowałem swój numer. Był wściekły. Wiedział, że pracuję na frezarkach, więc zapytał, skąd wziąłem tę płytkę. Odpowiedziałem, że znalazłem przy swojej maszynie na ziemi, że pewno podczas transportu została zgubiona. Uderzył mnie kilka razy w głowę i ponowił zapytanie. Powtórzyłem to samo. Nie wierzył, więc bił dalej, żądał żebym powiedział od kogo dostałem. Odpowiadałem niezmiennie jednakowo. Bił dalej, a gdy upadłem, kopnął i krzychał. Ja już nic nie mogłem odpowiadać. Początkowo czułem ból, później chciałem dostać cios śmiertelny, a później nic już nie pamiętałem. Powiedzieli mi potem koledzy, że wszedł na blok Küchenkapo i zapytał, dlaczego mnie tak bije. Coś porozmawiali i obaj wyszli. Koledzy wynieśli mnie do "wasserraumu" i oblewali wodą. Odzyskałem przytomność, ale bolało mnie wszystko. Głowa była opuchnięta jak bania i sina, zęby powybijane, ciało posiniaczone. W pewnym momencie zostałem sam. Przyszedł Küchenkapo. Koledzy się rozbiegli, gdyż myśleli, że mnie wykończy. Küchenkapo patrzył na mnie leżącego i rzucił mi pod rękę zapalonego papierosa. Był to wielki gest, bo papierosy były rzucane na ziemię i rozdeptywane abyśmy nie mogli peta znaleźć.

A więc Küchenkapo, ten, którego nawet esesmani się bali, Niemiec, jako więzień był solidarny w stosunku do innych więźniów, nawet do "warszawskich bandytów".

Na drugi dzień jeszcze bardziej wszystko bolało, a opuchlizna na twarzy zakryła mi oczy. Towarzysze chcieli mnie ratować na rewirze. Lekarz odmówił przyjęcia z braku podstaw choroby, bo w obozie bić nie wolno, a wobec tego nie może być pobitego na rewirze. Poprowadzili mnie koledzy ze zmianą do fabryki i postawili koło maszyny. Majster Czech na mnie spojrzał i nie kazał włączać maszyny. Tylko stojąc jej się trzymałem.

Niedługo przyszedł oberkapo - mój wczorajszy oprawca. Zapytał przez tłumacza dlaczego nie pracuję i co to jest, że tak wyglądam. Kazałem tłumaczowi powiedzieć, że śpię na piętrowej pryczy i że śnie spadłem na ziemię i tak się potłukłem. Udał bardzo zdziwionego i współczującego. Później koledzy mi powiedzieli, że tę odpowiedź uratowałem sobie życie.

Niedługo przyszedł dyrektor fabryki i zapytał jak zdobyłem tę płytę i po co. Odpowiedziałem niezmiennie to samo co mówiłem oberkapo, że ją znalazłem, a zabrałem, żeby zrobić sobie pamiątkę, bo ta płyta da się kroić i rzeźbić. Ubolewał bardzo, że nie zgłosiłem się do dyrekcji, to dostał bym inny materiał, lepszy, a z fabryki wynosić nie można, to jest sabotaż.

Byłem później obiektem pokazowym przy biurze konstrukcyjnym. Przy drzwiach do biura była umywalka. Dostałem proszek i kazali mi ją myć, a w tym czasie wszyscy pracownicy biura kolejno przechodzili i mnie oglądali. Prawdopodobnie była to metoda odstraszania pracowników biura od wynoszenia z fabryki, albo od sabotażu. Na niektórych twarzach widziałem współczucie. Pewno byli Czechosłowakami, albo Niemcami o ludzkich sercach.

Z biegiem czasu doszedłem do siebie bez pomocy lekarskiej, dzięki staraniom i opiece najbliższych kolegów: Wojtka, Władka, Leona, Zenka, Zdzisia, Bernarda i innych.

Zdrajca nie długo czekał na odwet świadczący o naszej solidarności. Przy wydawaniu obiadu podezwał drugi raz z miską po

dolewkę bo spodziewał się nagrody. Dolewkę, o ile zostawało coś w kotłach, dostawali prominenci, młodociani, fryzjerzy i inni wykonujący dodatkowe prace np. murarze, a dopiero później muzułmanie. Ktoś powiedział kűchekapo, że on już raz "naszlag" dostał i podchodzi po raz drugi. A to było karane. Kűchekapo zarządził z miejsca 25 batów, które otrzymał w czasie obiadu. Chyba zrozumiał, że zdrajcy taką właśnie nagrodę otrzymują. Fakt ten był dla mnie ukonjeniem i wykazał, że u nas w obozie jest solidarność nie tylko grup, ale wśród więźniów różnych narodowości. Organizacja obozowa jest silniejsza choć zakonspirowana.

11. O sposobach leczenia chorób. Zaraz po przyjeździe do Gablonz, już w pierwszych dniach pobytu, zaobserwowałem objawy choroby u współtowarzyszy. Zewnętrznie choroba objawiała się opuchlizną całego ciała. Nogi, brzuch, ręce i głowa ledwo mieściły się w napiętych pasiakach, skóra była naprężona i przypominała wodniste bąble jak po oparzeniu. Takich chorych było coraz więcej. Drugą widoczną i dość powszechną była chyba róża. Twarz obrzękła koloru fioletowego. Chory wyglądał jak w dużej gorączce. I wreszcie trzecią chorobą były wrzody. Jak również dotknięty byłem opuchlizną. Żeby się ratować przestałem pić płyny. I to mi pomogło. Przeszedłem również chorobę wrzodową. Zaczynało się od krosteczki, która miała bolesny łepiek i powiększała się do wrzodu, wielkości pięści. Środek wrzodu był wypełniony ropą, a po wyciśnięciu powstawał krater do którego palec by się zmieścił. Wrzody były bolesne przy dotyku noszonego ubrania, a tworzyło się jednocześnie kilka. Do dziś pozostało mi kilkadziesiąt blizn na piersiach i głowie. Ropiejące nogi, ropiejące karki, gruźlica, biegunka, gorączka - oto najczęstsze spotykane choroby w Gablonz.

W kilka dni po przyjeździe dostaliśmy zastrzyki, czasami dawali nam do połykania pigułki. Przyjmować musieli wszyscy znajdujący się w danym momencie na bloku. Czy to były środki zapobiegawcze chorobom, czy doświadczenia mające wykazać skuteczność nowych leków, nie wiem, raczej wobec zwiększającego się stanu chorych można przypuszczać to drugie.

W baraku przystąpiono do budowy ścian, mających wydzielić pomieszczenie dla chorych. Miał powstać tak zwany rewir. Do murowania ścian zgłosiło się na ochotnika dwóch murarzy. Początkowo robota im szła. Ale w miarę wzrostu muru przechylał się on na zewnątrz, aż ściana runęła. Zdaje mi się, że murarze dostali baty i nie wiem już kto dokończył budowę. A może i oni, lecz w końcu nauczyli się murować. Jeden z nich był warszawiakiem. Rewir skończono i przeniesiono chorych z sali.

Szefem rewiru był lekarz obozowy - więzień, narodowości polskiej, a przy nim kilku sanitariuszy. Zapamiętałem Adama Grząskiego ze Lwowa. Długo chorych tam nie trzymano, bo nie było miejsca i nie było czym leczyć. Choć medycyna obozowa dawała nam, przebywającym poza rewirem do połykania jakieś pigułki i zastrzyki w piersi, ale dla chorych był tylko jeden zastrzyk, o którym się dowiedziałem, ale był to zastrzyk śmiertelny.

Patrzyłem na lekarza i jego pomocników jak na morderców, bo właśnie zastrzyk z fenolu /lub czegoś podobnego/ on wykonywał. Największą zapobiegliwość pomocnicza służba medyczna wykazywała przy wydawaniu obiadu. Misek rewir wystawiał zawsze bardzo dużo, kto wie czy nie więcej niż wymagał stan. Ale czy chorzy wszyscy mogli jeść? To jest tajemnica rewiru. Dla chorych nikt z nas nie żałował. Często się zdarzało, że ktoś się zakradł do rewiru wieczorem przynieść koledze kawałek margaryny lub własnego chleba i pocieszyć go. Ale na rewir był wstęp surowo zakazany.

Z kroniki prasowej "Beseda" w Żeleznym Brodzie pod datą 9 maja 1945 roku zapisano:

Středa, 9. května 1945.

V 8,15 odjíždí štkpt. Hařner s por. Rybkou a Pleskotem do Jablonce n. Nis. Připravuje se nástup na Sudety.

Stále docházejí ve větších či menších skupinách němečtí zajatci.

V 11 hod. se stěhuje ONV. ze své prozatímní místnosti v radnici do Cristalu.

V 11,02 hod. vyhláše siréna letecký poplach.

Asi ve 12,30 hod. byl prý pozorován soubor ruských a německých letadel nad Koberovami.

Ve 13,05 hod. přivezen první transport nemocných Poláků z koncentračního tábora v Rýnovicích. Dopraveni do ošetrovny v úředním domě.

Ve 14,13 hod. jsou přivázeny zbraně, náboje a benzín z Jablonce u. N. a složeny v sokolovně.

Ve 14,20 hod. přijíždí další transport Poláků z Rýnovic.

V 15,30 hod. postřelen při přepravě zajatců nešťastnou náhodou br. V. Vokřinec.

Transporty aut s kořisti (hlavně zbraně a střelivo) se množí a šoféři jsou hromadně dopravováni do Jablonce, aby ukořistěná vozidla přivezli do Brodu.

V 16,05 hod. dochází velký pěší transport polských vězňů z koncentračního tábora, kteří jsou v tak ubohém stavu, že musí být všichni v ošetrovné proflektuři lékařem a většinou ponecháni v ošetrování. Sestry Cerveného kříže mají nyní plně ruce práce!

V 16,13 hod. přichází první skupina cizích dělníků (Francouzů, Rusů, Italů) z Jablonce. Je mezi nimi také žena (Italka) s pětíměsíční dcerkou na kočárku. Jsou posláni k Melnikovým na polévku.

Stále docházejí skupiny Poláků z Rýnovic, jež jsou nyní posílány na Pořič.

V 17,15 hod. přijíždí velké nákladní auto s vlečákem, plné německých uprchlíků a zavazadel. Jedou prý z Bunzlau ve Slezsku a jsou již od 10. února na cestě. Jezdí sem tam a nevědí, kam se obrátit.

Skupiny dělníků všech možných národností docházejí a dojíždějí různými dopravními prostředky od Jablonce. Jsou umísťováni, pokud místo stačí, na Pořiči, nebo posíláni do okolních obcí. Prof. Janiček se osvědčuje jako výborný tlumočnick.

V 19,02 hod. přivádí mistr Bukvic na koni velký transport německých zajatců.

V 19,21 hod. odjíždějí 2 čety Bartoškovy roty do Jablonce.

V 19,41 hod. siréna vyhláše letecký poplach. Je hlášeno 8 letadel nad Jabloncem. Je slyšet i střelbu z palubního kulometu.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.1.12.

Nigdy chyba nie widziałbym wnętrza ponurych klitek, gdyby nie choroba Józia Szolca. Wychudził bardzo, osłabł, tak że nie mógł już iść o własnych siłach do fabryki. Miał wysoką temperaturę. Pracował na tokarkach. Pocieszałem go, jak mogłem, żeby wytrwał. Pokazywałem mu swoje wrzody i dawałem przykłady innych, którzy cierpię, a jednak się nie załamują. Spaliśmy obok siebie na pryczach. Pewnego dnia prycza pusta - Józia nie ma. Zaczynam go szukać. Znalazłem na rewirze. Leżał na pierwszym piętrze pryczy z lewej strony ścianki. Oczy tylko świeciły chorobliwym blaskiem. Był przytomny, pomimo gorączki. Wpadałem do niego przez kilka dni, aby mu opowiedzieć co się dzieje w obozie, wspominaliśmy bliskich, którzy są daleko od nas. Pocieszałem i dodawałem otuchy. Przynosiłem mu margarynę lub kawałek kiełbasy, jak czasami dostaliśmy na kolację. Wizyty moje odbywały się około godziny 22⁰⁰ wieczorem, kiedy pracowałem na dziennej zmianie. Wiedziałem już o praktyce usypiania więźniów zastrzykiem i prosiłem Józia, żeby nadrabiał miłą poprawę zdrowia. O zastrzykach wiedział, bo obserwował tych którzy po zastrzyku wracali. Widziałem jednego, który wracał jak właśnie byłem u Józia. Pokazał mi go i powiedział, że za chwilę zostanie wyniesiony.

Pewnego ranka dowiedziałem się, że w nocy była selekcja rewiru. i że w grupie do zastrzyku znalazł się Józio, a więc wczorajsza moja u niego wizyta była ostatnią. Odszedł Józef Szolc, zabrany do obozu wraz z bratem Alfredem - obaj polscy ewangelicy, zapewne niemieckiego pochodzenia, którzy odmówili przyjęcia listy niemieckiej. Józio Szolc zginął jako Polak - godnie. Na rewir już nie miałem do kogo się zakradac, w moim przekonaniu był to prędzej zakład pogrzebowy niż lecznica i więcej tam nie zagłębiałem. Bnikałem nie tylko lekarza, ale i jego pomocników. Tajemnicę zastrzyków i lekarstw stosowanych na rewirze może opieszę ci co tam pracowali. Zmarli i uśpieni więźniowie początkowo byli odwożeni do Gross-Rosen, jednak później, w okresie od stycznia 1945 roku byli grzebani w lasku za obozem. Stan obozu był stale uzupełniany z innych komand i z centrali w Gross-Rosen.

Po wyzwoleniu zwłoki więźniów zostały ekehumowane przez ludność czachosłowską i złożone w jednej wspólnej mogile, nad którą wzniesiono pomnik z kamienia. Na cokole joot napis: "Liede bied" /bądźcie czujni/ a za pomnikiem stoi brzozywy krzyż z kłębem drutu kolczastego z ogrodzenia obozowego - jako korona cierniowa. Nielicznym udało się wyjść z rewiru i doczekać wolności, a należy do nich dr Jan Dadak z Krakowa. Wielu z więźniów zmarło w pierwszych dniach wolności w szpitalach Jablonec, Żelazny Brod i są pochowani na miejscowych cmentarzach.

12. Wyjazd do komando Reichenau. Komando Gablonz stale uzupełniano nowymi przybyszami do pełnego stanu, na skutek ubytków spowodowanych śmiertelnością więźniów. Metoda "leczenia" w rewirze przez stosowanie śmiertelnych zastrzyków, również przyspieszała wymianę więźniów. Niemniej komando Gablonz stanowiło już zorganizowaną grupę więźniów polskich, francuskich, czeskich, rosyjskich i niemieckich, którzy znów byli zwartymi grupami narodowościowymi, ale jednocześnie solidarnymi internacjonalnie. Mówi o tym choćby kilka przykładów przytoczonych w tym wspomnieniu.

Więźniowie funkcyjni rekrutujący się przeważnie z mętów społecznych, łatwo i szybko dali się poznać i zostali izolowani. Np. Szasza - podobno własowiec, który już wcześniej zdradził swą ojczyznę. Niektórzy więźniowie funkcyjni, nawet Niemcy, wykazali w sporadycznych przypadkach dpjrzają indywidualność i międzynarodową solidarność więźniarską, stając po stronie grup ruchu oporu np.

Küchekapo. Wszyscy tym bardziej wzajemnie sobie pomagaliśmy, im bardziej się poznawaliśmy. Nawet zmiana Lagerführera wpłynęła na poprawę naszego samopoczucia, a poprawa dania obiadowego - zupa z kaszą dodała nam otuchy.

Kiedyś, przechadzając się korytarzem koło mieszkania Lagerführera w poszukiwaniu jakiegoś użytkowego odpadku minąłem się z żoną Lagerführera. Przyłgnąłem do ściany, bo w korytarzu był półmrok w nadziei, że mnie nie zauważy /nie chciałem jej przestraszyć/, ona jednak musiała mnie spostrzec, otworzyła mieszkanie, wbiegła do niego nie zamykając drzwi i, nim zdążyłem się wyślizgnąć ze swego kąta włożyła mi do ręki kromkę chleba, kładąc palce na ustach jako znak milczenia. Zrozumiałem, że żona Lagerführera też jest naszym sojusznikiem.

Przybył do nas transport oświęcimski. Patrzyliśmy z podziwem na ich dobytek obozowy. Koce, włochate wełniane, bieliznę i inne prawie zapomniane przez nas przedmioty, jak np. szczoteczki do zębów, a nawet broń palną. Przyjechali na 28 wozach konnych. Mieli jechać do Berlina z eskortą esesmańską. Droga była zamknięta i po trzech dniach wrócili. Ich dobytek na wozach został zabrany przez esesmanów, a oni rozpoczęli normalne życie więźniarskie. Po kilku dniach zaczęli niknąć. Podobno ich Küchekapo wykończył. Byli to kapowie z Oświęcimia.

Patrzyliśmy na nich ze zdziwieniem i podziwem, oni na nas jak na mużulanów. Niechętnie z nami rozmawiali, lecz z tego co mówili wynikało, że zaskoczeni są losem, jaki im przypadł, tj. przebywanie w naszym obozie. W Oświęcimiu mieli większe wygody.

W krótkim czasie wyczytane zostały do transportu numery więźniów z naszego komanda. Byliśmy tym bardzo zdziwieni, bo tylko raz, po świętach Bożego Narodzenia, kilku więźniów zostało wyznaczonych na transport, w tej liczbie Czesio Jastrzębski i Tabaka - obaj z Warszawy. Musieli oddać wszystko co zdołali zorganizować sobie w obozie - strzępy szmat, swetrów itp. Tylko w pasiakach poszli na transport w nieznaną - jak się później dowiedziałem do Buchenwaldu /kilku z nich zmarło/. A teraz znowu transport. Wyczytują numery, Pada i mój. Żal mi rozstawać się z przyjaciółmi. Żal mi rozstawać się z Vlastą - szrajberem, Czechosłowakiem, który otrzymując paczki z domu, dał mi raz kawałek suchara. Żal mi opuścić przyjaciół z Warszawy: Wojtka, Jurka, Zenka, Bernarda, Zdzisia i innych, którzy jako harcerze stali w szeregach walczących, a w obozie zakonspirowali się w grupy sabotażu fabrycznego, szkodząc czynnie wrogowi.

Stu więźniów odchodzi z obozu pieszym transportem do Reichenau. Jest początek marca. Dzień dłuższy, a śnieg już zaczyna topnieć w lesie pod promieniami słońca. Przy ścieżce leśnej widzę, że coś się bieli na mchu. Co to może być? Po dłuższym rozważaniu dochodzę do wniosku, że to skorupki jajka zjedzonego na twardo. To jednak jeszcze są ludzie, którzy jedzą jajka. Jak też to smakuje? Maszeruję i rozmyślam. Rozmawiać nie wolno. Konwojenci zastrzegają czujność, byśmy się nie rozbiegli. A my sprzyjającej okazji też nie widzimy do ucieczki.

Wieczorem byliśmy przyjęci na bloku 2 w komando Reichenau i wcieleni do baukolony.

Nr archiwum Gross-Rosen 3.1.3.3.